MAŁGORZATA BIELECKA-HOŁDA

ur. 1951; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	życie codzienne ; Lublin ; ulica Górna ; ulica Górna 4a ; Redakcja Gazety w Lublinie przy ulicy Górnej 4a ; PRL ; dzieciństwo ; Marzec 1968 ; opozycja w PRL ; Aleje Racławickie ; ulica Żarnowiecka ; ulica Krakowskie Przedmieście 39 ; rodzina i dom rodzinny ; szkolnictwo ; Szkoła Podstawowa nr 6 ; Liceum Ogólnokształcące im. Unii Lubelskiej ; nauczyciele z Liceum Ogólnokształcącego im. Unii Lubelskiej ; matura ; matamatyka ; studia ; zajęcia z algebry ; Koło Naukowe Matematyków UMCS ; Koło Naukowe Filozofów UMCS ; teatr alternatywny i studencki ; życie kulturalne ; kawiarnie ; Astoria ; Chatka Żaka ; DFK ; Dyskusyjny Klub Filmowy ; Klub Piegowaty w Radio Lublin ; Wydawnictwo UMCS ; Annales UMCS - Lublin ; Gazeta w Lublinie ; redakcja Gazety w Lublinie przy ulicy Krakowskie Przedmieście 39 ; Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych ; stan wojenny ; Biały, Wacław (1943-2004) ; Bielecki, Adam (1910-2003) ; Borowiec, Krzysztof (1951-2014) ; Chwistek, Leon (1884-1944) ; Dywan, Zdzisław (1951-) ; Gzella, Alojzy (1932-) ; Hołda, Zbigniew (1950-2009) ; Iwaszko, Kazimierz (1950-) ; Kozicki, Zygmunt (1957-) ; Kotowicz, Krystyna (1931-2004) ; Kurowska, Marta (1950-) ; Krzyż, Jan (1923-2009) ; Lipko, Romuald (1950-) ; Michnik, Adam (1946-) ; Nowacki, Paweł (1956-) ; Przytyk, Włodzimierz ; Radziszewski, Konnstanty ; Rogowski, Andrzej ; Ruchlicki, Wiesław (1956-) ; Szymański, Tadeusz ; Wójcik, Monika

1. Mój ojciec był matematykiem

Ja miałam w ogóle nadzwyczajnych rodziców, tak uważam. Mój ojciec był matematykiem i bardzo tą matematyką się fascynował. W okresie mojego dzieciństwa to było dla niego główne zainteresowanie. Pamiętam, że ojciec przychodził do domu, a potem bardzo lubił się zamykać w swoim pokoju, gdzie pracował, nad czymś myślał. Tak było do śmierci mojej mamy. Bo po śmierci mamy zupełnie jakoś ta matematyka od niego odeszła. Ale poza matematyką, to [muzyka] była takim głównym jego zainteresowaniem. Ojciec skończył konserwatorium. W domu było pianino i ojciec grał, bardzo dużo grał, taka prawdziwą muzykę. Zresztą jego matka, nasza babcia, która przez pewien czas z nami mieszkała, też grała. Babcia to była taka dziewczyna z Krakowa. Dziewczyna! Wtedy to już była starą kobietą oczywiście, ale z takiej krakowskiej rodziny. Jej ojciec był profesorem

gimnazjalnym, jej brat Adam Znamirowski też był profesorem gimnazjalnym i uczył na przykład profesora Burdę, który tutaj był w Lublinie na Wydziale Prawa. Pisał też wiersze. On był jednym z akolitów Przybyszewskiego przez jakiś czas. Takim akolitą z dziesiątego rzędu, ale w każdym razie coś takiego tam było. Babka zresztą marzyła o tym, żeby być aktorką. To było niemożliwe, no to z moim dziadkiem uciekła z domu. W każdym razie, jak później po latach wydawano „Wiersze o Tatrach" to przynajmniej w dwóch tomikach wiersze mojego ojca sąsiadują z wierszami tego jego wuja. Ojciec za młodu właśnie parał się poezją i był takim bardzo awangardowym poetą. Zresztą żył w Krakowie, a Kraków z jednej strony był konserwatywny, a z drugiej strony jednak bardzo taki właśnie –awangarda, socjaliści i tak dalej. Ojciec był z tej drugiej grupy, powiedziałabym. Chodził poza tym na seminarium do profesora Chwistka. I chyba z profesorem Chwistkiem był najbardziej zaprzyjaźniony, mimo że zupełnie kto inny był promotorem jego doktoratu –w tej chwili nie pamiętam nazwiska jego promotora –i, że zupełnie gdzie indziej pracował. Pracował u profesora Weyssenhoffa, ale jakoś te takie serdeczne przyjaźnie, również matematyczne z okresu międzywojennego to był profesor Chwistek, do którego chodził na seminarium. W lecie jeździł nad morze, to się z Chwistkiem nie spotykał, ale zimy spędzał w Zakopanem, gdzie on też tam bywał i to było to to towarzystwo. No więc, jak mówię, ojciec pisał wiersze, ojciec był po konserwatorium i to były jego wielkie zainteresowania. O ile babcia, jego matka, opowiadała nam, póki żyła rozmaite historie, bajki i tak dalej, co było strasznie miłe, o tyle ojciec raczej nam [wykładał] teologię, trochę jakichś takich opowieści ze Starego Testamentu. W ogóle moja znajomość literatury to głównie się bierze stąd, że rodzice jakieś tam rzeczy podsuwali albo przeciwnie –chowali, co było bardzo dobrą metodą, żeby zainteresować dzieci takimi, a nie innymi książkami. W domu było masę albumów. Myśmy z moją siostrą bardzo lubiły właśnie te albumy oglądać, rysować sobie i takie były nasze zainteresowania w dzieciństwie.

2. Dom rodzinny

U nas w domu, jak mama żyła było stale pełno ludzi. Ojca przyjaciele to byli głównie matematycy z różnych z różnych stron. To był profesor Mazur, to był taki profesor Kluczny z Katowic. To był bardzo bliski ojca przyjaciel, chyba jeszcze kolega ze studiów. Oczywiście profesor Szarski. Ale pamiętam, że w ogóle ci wszyscy tacy wielcy, którzy tutaj przyjeżdżali, na jakieś doktoraty, habilitacje i tak dalej, to bywali [u nas] w domu. Rodzice mieli takich znajomych, głównie z uniwersytetu, bo oboje byli spoza Lublina. Stąd nie mieli żadnych. Mama przyjechała prosto z Syberii. Mama, babcia i siostra babci, która akurat była wtedy u nich [były zesłane na Syberię] w '0 roku. Pradziadek miał majątek gdzieś tam pod Chełmem. Mój dziadek ze strony mamy był oficerem. Mieszkali w Ostrogu. Dziadek już co prawda był wtedy na emeryturze, jakoś tak z sanacyjnym wojskiem nie bardzo mu było po drodze. Pracował w starostwie, ale donieśli [na niego] i dziadek w [zginął] w Bykowni, w tej

grupie tak zwanej ostrogskiej. Babcia opowiadała, że gdyby one wiedziały, że on już nie żył, to przecież by zwiały do Polski. Ale ciągle liczyła, że się go uda jakoś wyciągnąć stamtąd. Opłacały tych jakichś tam siepaczy, nosiły jakieś prezenty. Przecież człowiek wszystko by sprzedał, żeby uratować. Nie udało się i trafiły na Syberię. Mama wróciła z Syberii tutaj i poszła na farmację, chociaż marzyła zawsze o medycynie. W każdym razie mama [studiowała] na tej farmacji, której zresztą nie skończyła, bo tego serdecznie nie znosiła. A ojciec po rozwodzie przyjechał tu z Krakowa. Tutaj powstawał uniwersytet i szukali ludzi. I wielu było właśnie w takiej sytuacji, że przyjechali, bo tam coś się w domu popsuło. Bo przecież tak normalnie to by się ludzie nie ruszyli z uniwersytetu. Ci ze Lwowa i z Wilna już wcześniej zostali zagospodarowani, wyjechali do Wrocławia i do Gdańska. A tutaj mało kto [chciał przyjechać].

3. Całe moje dzieciństwo było związane z Alejami Racławickimi

Myśmy mieszkali na Alejach Racławickich. Całe moje dzieciństwo, aż do wyjścia za mąż było związane z Alejami Racławickimi, to było parę mieszkań w tej [okolicy]. Są takie dwa domy na rogu Poniatowskiego. W jednym z tych rodzice mieszkali i tam się urodziłam. Potem rodzice przenieśli się na ZOR [Zespół Osiedli Robotniczych] Zachód. A potem do domu, który jest na rogu Głowackiego. W tej chwili tam jest jakaś szkoła, ale bardzo długo był tam uniwersytet. Jak myśmy się tam wprowadzili, to na trzecim i na drugim piętrze właśnie były mieszkania, a niżej była biologia, potem była technologia chemiczna, potem ekonomia, a potem chyba studium wojskowe, aż wreszcie z tego budynku się wyprowadzili. Ale myśmy się wyprowadzili stamtąd jeszcze [wcześniej] –ja z moim mężem i mój ojciec –jeszcze na etapie studium wojskowego.

11 września ’1 roku skończyłam sześć lat. I 12 września posłali mnie do szkoły, ponieważ już umiałam czytać, pisać. Poszłam do szkoły numer sześć. To nie była moja rejonowa szkoła. Dwudziesta pierwsza była rejonowa. [Rodzice] nie posłali mnie do dwudziestej pierwszej, ponieważ mama znała nauczycielkę prac ręcznych ze szkoły numer sześć i po protekcji zostałam przyjęta do szóstki właśnie. Szóstka wtedy mieściła się w tym budynku, gdzie teraz jest liceum i gimnazjum królowej Jadwigi, na Popiełuszki. To taki piętrowy budynek. I tam była nasza szkoła i jeszcze jakaś –albo trójka, albo osiemnastka. No w każdym razie tam było strasznie dużo dzieci i to było niewygodne. Podłogi były smarowane ropą, co powodowało bóle głowy u dzieci. Ja w każdym razie zawsze z tej szkoły wracałam i musiałam godzinę odespać. Ja tej podstawowej szkoły swojej serdecznie nienawidziłam. I to jej tak nienawidziłam od pierwszej do siódmej klasy. Miałam tam fajne przyjaciółki, na przykład Ewę Linkowską siostrę Grzegorza Linkowskiego –to była moja serdeczna przyjaciółka –i tam jeszcze inne koleżanki. Byłam bardzo dobrą uczennicą, ale nie sprawiało mi to przyjemności, zupełnie. Byłam bardzo szczęśliwa, jak ta szkoła się wreszcie skończyła. Pamiętam, kiedyś ojciec po mnie przyszedł do szkoły. Poszliśmy

do parku. Ojciec miał ze sobą słoik. Do tego słoika nabrał wody z sadzawki, która wtedy na szczęście nie była ogrodzona. Ale przyszliśmy do domu i dzięki temu, że była właśnie ta biologia [w naszym budynku] i pełno ludzi z mikroskopami naokoło, to ojciec pożyczył na chwilę mikroskop i pamiętam wtedy po raz pierwszy widziałam to, co się dzieje w kropli wody. Były tam jakieś żyjątka –takie różowe w kształcie dzbana –nie wiem, jak to się nazywa. To było coś zupełnie niesamowitego.

4. Nauczyciele III LO im. Unii Lubelskiej

Potem, jak mówię, nie miałam wielkiego wyboru. Mogłam wybrać albo liceum Unii Lubelskiego, albo liceum Unii Lubelskiej. Co też i zrobiłam. Moje najlepsze koleżanki poszły do Urszulanek. Jakoś rodzice uważali, że Unia najlepsza, ja miałam iść do Unii. No więc poszłam do tej Unii. I tam było zupełnie inaczej. To było dla mnie miejsce cudowne, gdzie się czułam bezpiecznie, świetnie, miałam znakomitych nauczycieli, naprawdę świetnych. Nauczyciel matematyki, Przemysław Oczkowski –zmarł w tym, nie, w zeszłym roku jeszcze jakoś tak jesienią, czy zimą –miał ksywkę „Śledź" Ja go uwielbiałam, był świetny. Ale najbardziej ze wszystkich nauczycieli lubiłam Rogowskiego. On był nauczycielem chemii, która nie była moim zainteresowaniem jakimś szczególnym, ale on był świetnym nauczycielem, ileś tam wyprodukował potem uczonych chemiczek. Z mojej klasy parę dziewczyn później było asystentkami na chemii. Potrafił zainteresować tym. Ale nawet jeśli się ktoś chemią nie interesował, to łatwo było dostać piątkę za nic. No to ja tak właśnie zaczęłam, ponieważ dobra byłam w tych równaniach chemicznych, co było no po prostu super łatwe. To było taką moją dużą zaletą. Ale poza tym takie rzeczy, taka informacja, że porcelana, jak się weźmie pod słońce, to jest przezroczysta też czasem wystarczyła, żeby złapać piątkę u niego. To było dla takich dziewczyn, które jak ja, chemią się nie interesowały. Natomiast te zainteresowane chemią dusił i rzeczywiście one były znakomite. Więc Rogowski był świetny. Ale pamiętam właśnie, że Rogowski zapytał mnie, na co się wybieram. A ja mówię, że no chyba na matematykę, ale tak myślałam o polonistyce. A on się zaczął śmiać, mówi: „No jasne, oczywiście, żeby za mąż wyjść" I to było wręcz idiotyczne. To była najgłupsza rzecz, jaką powiedział, bo na polonistyce się męża nie złapie. Tam nie ma żadnych chłopców przecież. Chłopcy nie wiem, gdzie są, bo na moim roku też była większość dziewczyn, na tej matematyce. Miałam bardzo ostrą nauczycielkę historii, ona się nazywała Łysakowska. Nie wiem jak miała na imię. Rogowski miał na imię Andrzej, a pani Łysakowska, nie mam pojęcia. Ona była tak kostyczna i tak taka zasadnicza, że człowiek w ogóle żadnej prywatności w niej nie widział, więc nawet nie wiem, jak miała na imię. Była bardzo wymagająca. Podobno kiedyś tam gdzieś piątki stawiała, ale w naszej klasie się to nie trafiło. Czwórka to była tak, [jak piątka]. I rzeczywiście uczennice Unii na prawo dostawały się bez niczego. Ona miała takie metody. I historii jednak się trochę nauczyłyśmy. Ja bardzo lubiłam też nauczycielkę łaciny, która niekoniecznie była kochana. Na przykład ze zdziwieniem usłyszałam, że moja

przyjaciółka jej nie znosiła. Nie wiem, ja bardzo lubiłam tę nauczycielkę łaciny. Ona była kaleką, nie miała dwóch nóg, protezy miała. Mieszkała na Starym Mieście, w jednym pokoju też z uczennicami, które ją odprowadzały do szkoły. Była straszną piłą. Rzeczywiście trzeba było się uczyć słówek, trzeba się było uczyć odmiany i tak dalej. No ale też na pamięć wierszy łacińskich i to mi się wydawało fajne. Pani polonistka to była dziwna nauczycielka. Kto się nie chciał nauczyć polskiego, nie interesował się, to to mógł się nie nauczyć niczego. Bo ona siadała –to była starsza pani już wtedy, wyglądała, powiedziałabym niechlujnie, nie powinno się tak mówić, ale tak było –siadała przy stoliku i tak sobie coś po cichu opowiadała. I można było słuchać, a można było nie słuchać, można było malować paznokcie, można się było czesać. Oczywiście nie w pierwszej ławce, ale tam jakiejś ostatniej. Ja słuchałam i się dowiedziałam masę bardzo ciekawych rzeczy. Jeszcze jak byłyśmy w starej Unii, czyli w tym budynku, gdzie jest teraz Wojewódzki Ośrodek Kultury, to dziewczyny wychodziły przez okno do ogródka. Ja myślę, że ona to doskonale widziała, ale jej po prostu pasowało nie zwracać na to uwagi. Ja zresztą dwukrotnie przeżyłam przeprowadzkę szkoły. Szóstkę zaczynałam w takim baraku i w trzeciej klasie przenieśliśmy się do budynku, gdzie teraz jest ta szkoła. No z Unią też tak było. Zaczynałyśmy właśnie w tym Wojewódzkim Ośrodku Kultury, potem przenieśliśmy się. Myśmy były przedostatnią klasą żeńską. Po nas jeszcze była jedna żeńska klasa, a potem był rok przerwy i przyszła klasa, gdzie już byli chłopcy. Oni byli od nas sporo młodsi. W ogóle to już ta Unia zrobiła się trochę jakby inna, ale dalej było świetnie. Ja naprawdę z wielką sympatią tę szkołę wspominam. Nauczycielkę rosyjskiego, która –to było coś zdumiewającego, parę lat temu poszłam na jakieś tam tysiąclecie Unii i pamiętam, idę sobie korytarzem, pani Głuszakowa, nauczycielka rosyjskiego, siedzi na korytarzu i tak nagle mnie zobaczyła mówi: „O, Gosia” Sobie myślę –„Matko Boska, nie widziałam jej przez, no nie wiem, czterdzieści lat, czterdzieści parę lat. To w ogóle coś niebywałego, że ona mnie poznała.”Bo że ja ją poznałam, no to oczywiście. Ale że ona tak pamiętała uczennicę. No to tak może nauczyciele mają. [Dyrektorem wtedy] był Tadeusz Szymański. Z dyrektorem to no myśmy wiele wspólnego nie miały. Niestety ponosiłyśmy konsekwencje jego pomysłów. Znaczy on był świetny. Ja mogę tylko o nim dobrze mówić, bo to był naprawdę strasznie fajny facet. Ale wymyślił sobie, że my po ogólnokształcącym liceum to takie jesteśmy bez zawodu. Jak się na studia nie dostaniemy, no to co? I trzeba nam jakiś zawód dać. I wymyślił –ja nie wiem, to chyba tylko mój rocznik to miał –uzawodowienie. Czyli miałyśmy kurs maszynopisania, co by się przydało, gdyby człowiek chodził na to maszynopisanie. I kurs arytmetyki gospodarczej. Ja w ogóle nie miałam zielonego pojęcia, o co tu chodziło. Jak były jakieś kartkówki, to zżynałam od mojej przyjaciółki, bo ona chodziła na te zajęcia, jakoś załapała. A maszynopisanie szło mi świetnie przez parę pierwszych zajęć, ale potem nasza klasa miała kurs tańca z klasą ze Staszica i potem zamiast chodzić na to maszynopisanie, to ja się umawiałam z pewnym młodym człowiekiem z tej właśnie klasy. No a szkoda, teraz żałuję, bo ja

piszę tak [wolno] i na maszynie i na komputerze. To jest niedobre. A tutaj by człowiek to umiał. Jest to taka umiejętność, która niestety przeszła mi koło nosa. Tak że szkoła była świetna i tyle. Cztery lata to trwało, skończyły się cztery lata raju, trzeba było iść na studia. Jak ja zdawałam to była bardzo dobra wersja matury. Był oczywiście pisemny polski i pisemna matematyka obowiązkowe. I obowiązkowy był tak zwany przedmiot dodatkowy. Ale jak człowiek się dobrze uczył, to był zwalniany. Tak, że ja z czego można było być zwolnionym, to byłam pozwalniana, a w związku z tym że z pisemnego [egzaminu] z matematyki i polskiego dostałam piątkę, to już ustnego nie musiałam zdawać. Przedmiotem dodatkowym była fizyka, bo przecież już wtedy wiedziałam, że idę na matematykę, a na matematykę zdawało się fizykę. Tam były jakieś tam teoretyczne pytania, ale też trzeba było zrobić doświadczenie. Ja byłam zawsze beznadziejna z doświadczeń wszelkich, chemicznych, fizycznych i tak dalej. I tak dosyć się ociągałam z tym. Zorientowałam się mniej więcej i już wiedziałam, co tam potrzeba do tego doświadczenia. Ale przede mną podeszła moja koleżanka i patrzę, a ona te właśnie rzeczy bierze. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa! Tylko opowiedziałam, jak się to [doświadczenie] robi. Ten egzamin z fizyki mi poszedł świetnie dzięki temu, że tego doświadczenia nie robiłam, więc dostałam piątkę. Tak, że ja z bardzo dużą przyjemnością maturę wspominam.

5. Programy dla młodzieży w Radiu Lublin

W maturalnej klasie koleżanka mnie wciągnęła do czegoś takiego, co się nazywało Klub Piegowatych w Radio Lublin. I to były takie audycje dla młodzieży, które były prowadzone przez panią Krystynę Kotowicz. To fajne było towarzystwo, bo tam był Romek Lipko, Marta Kurowska. Było nas kilkoro. Ja byłam tym takim uzasadnieniem dla nazwy, bo jedyna miałam piegi, nikt poza tym nie [miał]. To świetne było. Strasznie mi się podobało to zajęcie w radio. Teraz jak sobie przypominam i tak sobie myślę, że myśmy takie jakieś dosyć idiotyczne dyskusje prowadzili. Zaprowadziła mnie tam zresztą moja przyjaciółka Monika Wójcik. Redaktor Mariusz Jeliński, który był w redakcji muzycznej, prowadził też taką audycję dla młodzieży. Tam była właśnie Monika, Włodek Przytyk, jej kolega i to się nazywało MWJ, czyli: „Monika, Włodek i ja” „Ja”to był ten Jeliński. I oni to we trójkę mieli co tydzień, a czasem mnie dopraszali. To chyba [były] takie jakieś rozmowy, pamiętam, że jakiś tam nawet kiedyś wyprodukowałam felieton, bo mnie o to poprosił. A nie mogłam go przeczytać, ponieważ czytałam, to takim głosem, jakbym była prokuratorem, który kogoś oskarża, więc Monika to odczytała. Ale w każdym razie pięćdziesiąt złotych zarobiłam. Każda taka audycja u nich kosztowała pięćdziesiąt złotych. To naprawdę było niemało. Znaczy nie tak strasznie dużo, no ale zarobić jak się chodziło do jedenastej klasy pięć dych, to była całkiem przyjemna rzecz. No więc to mi się podobało. To było dokładnie w tym samym czasie, co kółko matematyczne ogólnoszkolne, na które ojciec mnie namówił. Ale jak miałam do wyboru, no to oczywiście chodziłam dalej do tego radia. Poza tym tam jeszcze była jedna rzecz. To nawet głupio tak powiedzieć o tym. Ale

myśmy tam byli traktowani jak osoby dorosłe. Ja miałam szesnaście lat. Siedemnaście lat dopiero na pierwszym roku skończyłam. Wchodziło się i natychmiast wyjmowało się papierochy. I nikt nam nie zwracał uwagi. Chodziliśmy po korytarzach z tymi papierosami. No przecież to była taka przyjemność! I to takie było to radio. A potem trzeba było się zdecydować na coś, co się pójdzie [studiować].

6. Najpierw myślałam o architekturze

Ja najpierw myślałam o architekturze. No to mi ojciec wytłumaczył, że do Warszawy to w ogóle nie ma o czym mówić. No to potem sobie myślę, a może prawo? No to, że się nie dostanę. Ojciec tak bardzo uważał, że matematyka jest czymś przepięknym, że wymyślił sobie, że to największe szczęście będzie dla córki, jak będzie to studiowała. I taką metodą eliminacji [mnie ukierunkował]. A na przykład to, że ja nie chodziłam na kółko to, tylko brykowałam tutaj do radia, to mu jakoś nie dało do myślenia, jakoś nie zwrócił na to uwagi. Poszłam na tę matematykę. To było pierwsze miesiące studiów to było tak, jakby cię ciągle ktoś walił po głowie. Bo to był taki kontrast. To, czego myśmy się uczyli przez całą szkołę, no to było mniej niż pół semestru. Masę nowych rzeczy, zupełnie inne myślenie. Ta matematyka nie ma nic wspólnego z rachunkami, a to przecież głównie rachunki były wtedy. To jeszcze był tak zwany program, gdzie nie było ani ciągów, ani żadnych nieskończoności, ani rachunków zbiorów. Tego wszystkiego nie było. I to dopiero [poznałam] na tym pierwszym roku. Tak, że to były rzeczy całkiem nowe, ale były naprawdę fajne, naprawdę bardzo mi się podobało, w gruncie rzeczy. Przypuszczam, że mama by może bardziej słuchała tego, co ja [chcę], ale mama zmarła, jak byłam w pierwszej klasie liceum, a ojciec był tym tak zafiksowany. Moja siostra była w dużo lepszej sytuacji, bo skoro ja poszłam na tę matematykę, to ona już mogła sobie spokojnie [pójść] na prawo. Nie żałuję, że studiowałam matematykę, chociaż to są trudne studia i ja nie byłam systematyczna, ponieważ mnie interesowało sto pięćdziesiąt tysięcy różnych innych rzeczy. Różne rzeczy na tych studiach robiłam, głównie prowadziłam życie towarzyskie. Siedziało się w Chatce Żaka godzinami przecież. Fajnie było, ja uciekałam ciągle z zajęć i potem miałam kłopoty przed egzaminami. Ale w każdym razie trói żadnej nie dostałam przez całe studia. Czwórki tylko na pierwszych latach, więc dobrze te studia skończyłam.

7. Wykładowcy i egzaminy

Mój ojciec miał z nami zajęcia z algebry i może głupio tak powiedzieć, ale to był fantastyczny wykład. Ojciec był znakomitym wykładowcą, naprawdę. No, poza tym algebra jest czymś nadzwyczaj interesującym, bo to jest żywa, czysta abstrakcja. Tam nie ma żadnych liczb ani niczego takiego. To znaczy, oczywiście są jakimś jednym z przypadków pewnej struktury może być na przykład zbiór liczb rzeczywistych z działaniami, ale to było wszystko tak abstrakcyjne, że to no naprawdę to była to była żywa czysta poezja, to mi się strasznie podobało. To i

podstawy matematyki, gdzie była logika, to to były moje ulubione przedmioty. Geometrię miał z nami profesor Radziszewski, który uważał się za wybitnego wykładowcę, ale taki nie był. On był fajny, miły i tak dalej, ale jednak to było jakieś takie potwornie chaotyczne. I był profesor Krzyż, który nas uczył analizy matematycznej. To był też bardzo dobry wykład. Tam rzeczywiście, jak się notowało na wykładzie, to już można to było spisać, wydrukować i wychodził z tego po prostu podręcznik. Więc te dwa wykłady miałam świetne –ojca i profesora Krzyża. Każdy egzamin, który był u mojego ojca, zdawałam komisyjnie. To znaczy [egzaminowali] wszyscy asystenci, którzy prowadzili zajęcia i na przykład pani profesor Krzyżowa albo ktoś. Nie było takiego pomysłu, że mnie ktoś tam przepyta i koniec. To nie było przyjemne, nienawidziłam tego serdecznie, ale inaczej musiała bym przenieść się gdzieś indziej. Na szczęście niewiele było tych przedmiotów. Była ta algebra, a potem chyba mechanika teoretyczna czy coś takiego i już więcej do ojca na wykłady nie chodziłam. Magisterium robiłam u profesora Krzyża. Z funkcji analitycznych. Ale ja w tej chwili naprawdę nie pamiętam nic. Ja tę matematykę tak sobie wyrzuciłam z głowy, że jak mój kolega Wiesiek Ruchlicki, łamacz, mnie prosił, żebym jakieś tam zadanie zrobiła jego synowi, to byłam tak szczęśliwa, że umiałam to zrobić, że w ogóle pamiętam. Byłam z siebie dumna. Naprawdę wyrzuciłam to z głowy zupełnie.

8. Praca w Instytucie Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych

Jak skończyłam studia, no to ojciec powiedział, że absolutnie na uniwersytecie nie [mogę pracować]. No to poszłam do pracy w Instytucie Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych. To było dziwne miejsce. Była fantastyczna była szefowa. Pani Danuta Nakoneczna, fizyczka. Ona była z Puław, ale pracowała też w Warszawie. Szalenie kulturalna osoba, prześliczna, fajna. No, pod każdym względem znakomita. No i tam w tym zakładzie była pani biolog, była pani chemiczka, była pani fizyczka, no i byłam ja. I tamte panie zajmowały się badaniem profilu nauczyciela. Ja nie wiem, o co tu chodzi, naprawdę, nie ma zielonego pojęcia. Nie wiem, na czym polega badanie profilu nauczyciela. Ja nie miałam takiego pomysłu, żeby badać profil nauczyciela. Zaczęłam pracować w czerwcu i wytrzymałam tam dokładnie pół roku. Zresztą początek pracy był świetny, bo prowadziłam zajęcia dla [nauczycieli]. Wtedy wchodziła reforma Kuberskiego do szkół. Czyli zupełnie nowy program matematyki i tak dalej. A poza tym każdy nauczyciel musiał się dokształcać, jakieś kursy podyplomowe –nie pamiętam już dokładnie, jak to było, ale raz na parę lat każdy nauczyciel musiał przejść taki kurs dodatkowego kształcenia, co było znakomite i to był świetny pomysł. Oczywiście były potrzebne na to pieniądze, ale to zmuszało nauczycieli do tego, żeby się jednak uczyli. Natomiast ci, którzy nie mieli studiów, musieli iść na studia, chyba że byli starsi. To dla tych starszych [nauczycieli], ja już nie pamiętam [w jakim wieku] –czterdzieści pięć czy ileś –był zrobiony taki szybszy kurs i właśnie między innymi ja tam miałam zajęcia. Wszyscy byli dwa razy starsi ode mnie, bo ja miałam dwadzieścia jeden lat, jak skończyłam studia. Ale to były świetne

zajęcia, z wielką przyjemnością to wspominam. Tam byli ludzie [dużo] starsi ode mnie, ale byli też tacy trochę młodsi. Tacy różni, co dla mnie był fenomenem. Tacy, którzy to sobie załatwili, bo na przykład on był inspektorem i sobie załatwił, że nie musi iść na studia. Po prostu jakieś szaleństwo. No, miałam z tymi z tymi nauczycielami! Potem w lecie pojechaliśmy do Szczytna, zaczynał się kurs na studia podyplomowe dla nauczycieli. I tu było inaczej, bo to byli nauczyciele naprawdę najambitniejsi, najlepsi z całego województwa. Tacy, którzy się pierwsi zgłosili. Tam wtedy była Renata Janicka, która w ostatnich latach pracowała w tej instytucji, która przygotowuje matury. Jej mąż Sławomir Janicki, który później był prezydentem miasta. Też tam prowadził jakieś zajęcia. On był po informatyce. No był profesor Gebel, był mój ojciec. Byli tacy ludzie, którzy później wyjechali zresztą z Lublina. Myśmy mieli zajęcia w Szczytnie z tymi nauczycielami. Trzeba się było dobrze przygotowywać, ale było to świetne. Jednym z moich studentów tam był Ignacy Czeżyk, który później był przez długie lata działaczem „Solidarności"i posłem. Zresztą zdumiewająco się zachowywał. Potem był dyrektorem szkoły w Puławach. W każdym razie to nie jest ten odłam „Solidarności" z którym ja się dzisiaj bym identyfikowała. To było naprawdę świetne zajęcia, bardzo przyjemne. A matematykiem był doskonałym. To niekoniecznie idzie w parze jakieś takie rozumienie świata z doskonałą znajomością i pomysłowością w matematyce. Zupełnie nie. Tak naprawdę to ta matematyka mi troszkę leżała, pewne rzeczy mi się podobały, ale –zero pasji. Jednak żeby się zajmować czymkolwiek, to trzeba mieć pasję. No i tak to sobie szło. Jakiś czas potem urodziłam córki. Zaczęłam chodzić na zajęcia na seminaria na KUL, gdzie jest profesor Dywan Zdzisław. Wtedy on jeszcze nie był profesorem, tylko był doktorem. Człowiek po filozofii, który matematyki nauczył się sam. Fenomenalnie fenomenalny matematyk. Ja już wiele lat się z nim nie spotykałam, ale naprawdę był świetny. I on mnie wysłał do takiego swojego znajomego profesora, który był akurat wtedy w Kielcach, nazywał się Prucnal. Ja zaczęłam coś tam robić, ale to był rok '0. I jak się zaczęło to wszystko, jak się zaczęła „Solidarność" jak się zaczęły te wszystkie historie, no to pomyślałam: „Jezus Maria, przecież fajne są te rzeczy, które ja tutaj [robię]. To tak jak budowanie z klocków, ale przecież życie jest gdzie indziej."I zupełnie się przestałam zajmować matematyką.

9. Praca w wydawnictwie. „Annales"

Bardzo dobrze się złożyło, bo akurat był potrzebny ktoś do redagowania tomu matematyki w „Annales" więc poszłam do pracy do wydawnictwa. Gdzie też było fajnie. Bo bardzo sympatyczne miałam koleżanki. Większość to były polonistki głównie, ale była na przykład pani doktor Reissowa po filozofii, która była z nami w pokoju. Ja wtedy już byłam w komisji zakładowej i myśmy się z tą panią Reissową zapisały na śróddyplomowy kurs edytorski na KUL-u. To przez dwa lata trwało. Przez dwa lata chodziłyśmy popołudniami [na zajęcia]. To już był stan wojenny. To już był '2 rok, stan wojenny i tam właśnie spotkałam się z taką dużą grupą, znaczy ja znałam

tych chłopaków trochę, bo niektórzy z nich przychodzili do komisji zakładowej, ale to byli podziemni drukarze. Świetni chłopcy. Właśnie Ruchnicki i Guzicki, to strasznie, strasznie fajni, mili chłopcy. Krzysiek Wasilewski, który później w telewizji pracował. Nie wiem, co on teraz robi. Był również Paweł Nowacki. On przez pewien czas pracował w „Gazecie" ale potem strasznie taki prawicowy się zrobił. Krzysiek i Paweł właśnie na samym początku z Wackiem Białym zakładali „Gazetę" Oni byli raczej techniczni, a Wacek raczej był dziennikarzem. No, ale w każdym razie to było bardzo przyjemne towarzystwo. I ten kurs edytorski był dziwny, bo z jednej strony była ta grupa chłopaków, tych drukarzy, była Reissowa, która wyleciała z filozofii –z różnych powodów, ale również i to, że była bardzo zaangażowana w „Solidarność" a tam jednak była jakaś jakiś rodzaj weryfikacji, no i ja byłam. A poza tym była tam jakaś pani i jacyś państwo z KAW-u, czyli Krajowej Agencji Wydawniczej. Jacyś jeszcze, co kompletnie nie wiedzieli, co się dzieje. Tak jakby bibuły nie oglądali, więc to było śmieszne. Nasi nauczyciele to był Gzella, to byli jacyś ludzie z KUL-u. No to akurat oni też doskonale wiedzieli, co to jest. Tak, że to bardzo była znakomita historia. Tam się dużo nauczyłam, więc nie mogę narzekać.

10. Działalność w podziemiu

Naprawdę na początku to nie było takie oczywiste, że to musi być jeden związek. To znaczy w ogóle to nikt nie miał wątpliwości, ale niekoniecznie, że [ma być] „Solidarność" to się tak ważyło. Był też jakiś pomysł na Związek Zawodowy Pracowników Nauki, przyjeżdżali tu jacyś ludzie z Warszawy. Pamiętam, Paweł Drwal tak biegał i agitował. On bardzo szybko potem umarł, był zresztą moim rówieśnikiem, miał chyba trzydzieści lat jak umarł. No, ale potem szybko decyzje zostały podjęte. Ale w ogóle nie było pomysłu, że można się w to nie włączyć. Zbyszek się włączył natychmiast, bo przecież on jest prawnikiem, więc oni jeździli, doradzali. A ja siedziałam z dziećmi. To, że u nas w domu odbywały się te wszystkie spotkania i tak dalej, to też w dużej części dlatego, że mi bardzo na tym zależało, bo wiedziałam, że jakby to było gdzieś indziej, to ja nie będę miała do tego [dostępu], bo ktoś z tymi dziećmi musiał zostać. A pamiętam, byliśmy na wakacjach w Kazimierzu w '2 chyba roku, kiedy się zaczął ten Teatr Domowy –Ewa Dałkowska, Emilian Kamiński i jeszcze jeden aktor, którego nazwiska nie pamiętam. Oni byli bardzo związani z rodziną Mieronowskich tutaj w Lublinie, dlatego że Dałkowska była żoną brata stryjecznego tych Mieronowskich. Pamiętam, że oni przyjechali z takim spektaklem, który był pokazywany w Kazimierzu dwa razy. Raz Zbyszek poszedł, ja siedziałam z dziećmi, a drugi raz ja mogłam sobie pójść na to. I to było gdzieś na dworze. Myśmy byli na Albrechtówce w domu uniwersyteckim. Gdzieś niedaleko Siła-Nowicki miał dom i to gdzieś tam się odbywało. A jak ja byłam, to to się działo w takim domu przy rynku w Kazimierzu, gdzie się jakoś strasznie długo szło po schodach. Mi się wydawało, że to jest w ogóle chyba jakiś wieżowiec, bo się szło i szło i tu jeszcze schody, i tu jeszcze schody. To to nie było jakieś wybitne. Przecież nie dlatego się to

oglądało z otwartą gębą i z wypiekami, tylko dlatego, że to było takie strasznie antypaństwowe i tak im dokładaliśmy. I ja pamiętam, że dostałam wtedy chyba od Leszka Wiśniewskiego, który był w wojsku, takie rysunki jakieś zupełnie koszmarne, takie satyryczne niby, robione właśnie dla żołnierzy. No zupełnie coś koszmarnego, strasznie żałuję teraz, bo ja to pożyczyłam i oczywiście nigdy to do mnie nie wróciło. A teraz to by był fajny taki dokument epoki, na przykład: „Regan –morderca polskich kur"i tak dalej, tego typu rzeczy. W każdym razie oni z tego jakąś sobie robili scenografię, no więc to się przydało. A nie było kserografów i zresztą z kserografami to było śmiesznie. Zdzisław Dywan, który na KUL-u pracował, jak chciał sobie zrobić ksero jakichś książek matematycznych, to mi je przynosił. Ja je u nas odbijałam, u nas to robiłam na UMCS-ie, ponieważ tam się tak rektor Krąpiec wystraszył tych spotkań i, nie wiem, chyba jakieś miał układy, że zabronił korzystania z kserografu uczonym. I Zdzicho nie mógł swoich matematycznych książek odbić. A spotkania przecież nie były nie były robione na kserografach na uczelni, tylko zupełnie gdzie indziej, czyli wszystko było dobrze.

11. Chata za wsią i absurdy rzeczywistości PRL-u

Zrobiłam też w tym czasie uprawnienia rolnicze. Ponieważ moim marzeniem było zawsze mieć chałupę na wsi, no a żeby można było kupić wtedy, to trzeba było być rolnikiem. No więc moim zdaniem było oczywiste, że to mój mąż może być przecież rolnikiem, nie ja. On świetnie się nadaje. Ale on akurat wtedy jechał do Oksfordu, w tym czasie kiedy to się działo, nie mógł jeździć na zajęcia, więc raz pojechałam na zajęcia gdzieś tam do Świdnika Małego, kiedy go nie było. No ale muszę powiedzieć, że to było bardzo zabawne, to zdawanie egzaminu rolniczego. Ponieważ ja strasznie kułam do tego. Przecież egzaminowałam studentów, miałam zajęcia, wykłady na studiach zaocznych i naprawdę doskonale wiedziałam, jak to wygląda, jak ktoś siedzi naprzeciwko i stęka i nic nie umie, to bardzo taka nieefektowna sytuacja. No więc kułam te podręczniki. I w przeddzień egzaminu przyszła moja koleżanka, która tam pracowała w tym ośrodku rolniczym w Świdniczku czy gdzieś tam, i mówi: „Słuchaj, ty jesteś beznadziejna. Nawet nie wiesz, ile wiader krowa zjada codziennie siana" Ja mówię: „No nie, nie wiem, bo tu nigdzie w wiadrach nie piszą" Ona mówi: „To weź ty mi powiedz, z czego ty jesteś najlepsza" Ja mówię: „Najlepsza to jestem z budowy owczarni"–„Świetnie."No i jest ten egzamin. Najpierw egzamin pisemny, taki test naprawdę strasznie łatwy. Ale, jak ja tam poszłam, no to jednak człowiek, który się uczy przez ileś tam lat i potem uczy i tak dalej, ma bardziej wygimnastykowany mózg niż młodzi ludzie po zawodówce. A tam głównie zdawały dzieci rolników, bo żeby odziedziczyć po rodzicach gospodarstwo, też trzeba było mieć te uprawnienia. I dla nich to była życiowa sprawa, ten egzamin. Naprawdę byli strasznie przejęci, strasznie zdenerwowani. Najpierw był ten test. I między innymi było tam paru adwokatów z Lublina, którzy mieli tak zwany załatwiony ten egzamin, bo tez sobie chcieli kupić chałupę tak, jak ja. I jak ja patrzyłam, jak oni się bezczelnie zachowywali, z taką

pewnością, myślałam sobie –„Cholera, przecież tutaj są tacy ludzie, dla których to naprawdę jest sprawa być albo nie być. No jakże można się tak wygłupiać?” No ale potem tak trójkami nas sadzali na egzamin ustny. Naprzeciwko trzech egzaminatorów i mnie pierwszy pyta o owczarnię. No więc świetnie, powiedziałam o owczarnię. Potem ten drugi: „A może pani powie jak jest zbudowana owczarnia” Sobie myślę, cholera jasna. No dobra, powiedziałam. Ale jak mnie trzeci o to zapytał, no to już się zaczęłam potwornie śmiać i ci tutaj obok też. No jednym słowem wybitna byłam. Wiem, że musi być wysoka owczarnia, bo owce się nie pocą, co z jakichś tam powodów jest ważne. No więc to były te moje takie osiągnięcia podczas stanu wojennego.

12. Atmosfera stanu wojennego

No poza tym to jeszcze się żyło, jak to w stanie wojennym. Właściwie to wtedy było takie życie we wspólnocie. Bo szło się do pracy, robiło się jakieś rzeczy, ale w gruncie rzeczy życie było tu. Mój mąż przez ten czas zajmował się jednak pracą naukową i o habilitacji myślał, ale przede wszystkim tak naprawdę najważniejsze było to, co się działo jakby obok. O tym się rozmawiało, to się robiło. Wacek Biały, który był naszym serdecznym przyjacielem i też sąsiadem bliskim najpierw robił audycje, [nagrywał] kasety. Albo to były Fedorowicza jakieś historie, albo sam montował takie audycje, któreśmy mu pomagali rozprowadzać. „Powściągliwość i Praca”–żył z tego, że był takim kolporterem na etacie. Bo oczywiście go wywalili z radia, przecież to były te weryfikacje, gdzie najlepszych dziennikarzy wyrzucili. Janusza Winiarskiego, naszego ukochanego przyjaciela i sąsiada też wywalili i całą jego redakcję rolną. Bo to była redakcja rolna Janusza –Wacek Biały i te dziewczyny, które później najlepsze reportaże robiły: Gosia Sawicka, Hanka [Anka] Kaczkowska. To towarzystwo wyleciało. No Wacek to był bardzo aktywny. On na przykład robił razem z Hanką Kaczkowską i jej mężem takie jasełka, chodzili po domach ze świetnymi takimi bardzo antypaństwowymi jasełkami. Wacek żył ze sprzedawania, kolportowania tego [czasopisma] „Powściągliwość i Praca” Te kasety, na których to nagrywał, no to trzeba było gdzieś kupić. A przyjaciółka mojej siostry w Warszawie miała taką fabrykę tego, wytwórnię i Zośka kupowała hurtowo, Wacek brał od niej. I ta przyjaciółka kiedyś mówi: „Wiesz co, tylko musisz strasznie uważać, bo też takie robią jakieś w podziemiu rzeczy. Żeby broń Boże nas nie podejrzewali, że my tak im sprzedajemy” No więc to było bardzo zabawne. A potem już nie tylko te do magnetofonu, tylko kasety wideo się zaczęły pojawiać nowe i bardzo zresztą świetne [filmy] na przykład o „Kulturze”paryskiej. Oczywiście odpowiedni telewizor i magnetowid to była rzadkość. Nasz przyjaciel pojechał do Stanów, gdzie pracował jako *visiting professor*. Po powrocie kupił taki telewizor i wideo, postawił to u nas i u nas się odbywały przynajmniej raz w tygodniu takie seanse. No to znaczy atmosfera była, że tak powiem, ciasna. Pokój miał piętnaście metrów, to był największy pokój w tych takich system OWT [red. Oszczędnościowa Technologia Wielkopłytowa]. Tam potrafiło

wejść trzydzieści osób bez niczego. To byli nasi znajomi i znajomi znajomych, i sąsiedzi. Ja zawsze zapraszałam sąsiadów z naszej klatki. Nie wszystkich, ale takich, z którymi byliśmy zakolegowani. Więc to były naprawdę tłumy, jak on przywoził taką jedną kasetę czy film. To było i „Przesłuchanie”i „Kobieta” [„Kobieta samotna” Agnieszki Holland. Wtedy „Amadeusza” też oglądaliśmy. No, w każdym razie były naprawdę świetne rzeczy. W tym malutkim telewizorze to to naprawdę nie było nic widać. Na przykład to, że jak był Mozart ze swoją żoną w teatrze, to jeszcze był z nimi mały synek, zobaczyłam dopiero na dużym ekranie, już po stanie wojennym. W każdym razie zapraszaliśmy kolegów z pracy, kolegów z Instytutu Matematyki, żeby jak najwięcej ludzi to obejrzało, zależało nam na tym. Mąż też swoich [znajomych] ściągał. Jeden z kolegów naszych, zresztą też siedział w ciupie z moim mężem, na początku się zaofiarował, że u niego też to można robić, ale szybciusieńko się wycofał, tak że to wcale nie było tak wiele miejsc, gdzie można to było pokazywać. Ludzie się troszkę bali. I też zupełnie nie wiem, czego. Dlatego że myśmy wtedy tak sobie myśleli, że gdzieś tam w Czechach, czy w Niemczech to jeden na drugiego kabluje, a u nas nic takiego nie ma. No przecież ludzie widzieli, nasi sąsiedzi i z naszej klatki obok, przecież doskonale widzieli, że [u nas] są jakieś takie duże zgromadzenia. Nigdy nic. Mimo że w naszej kamienicy –myśmy mieszkali w tym bloku w czwartej klatce, a w pierwszej klatce był niejaki kapitan Zdybicki, taki ubek zresztą obrzydliwy, wstrętny. I też się nie kapnął. Przez jakiś czas ciągle natykałam się na takiego ubeka, który się nazywał Kafel. Ale to ciągle gdzieś go [spotykałam]. Patrzę: jest Kafel, tu Kafel. Ja nie mówię, że on za mną łaził, ale w każdym razie gdzieś tam ciągle się plątał. I też nie było żadnych konsekwencji. W gruncie rzeczy w ogóle mieliśmy tylko jedną rewizję przez cały stan wojenny. Parę razy przychodzili jacyś policjanci, ale generalnie no to nie było, naprawdę nie było żadnych donosów. Nie było żadnych takich rzeczy. Zresztą jak była ta rewizja, to było bardzo zabawne, bo poprosiliśmy sąsiadkę naszą z góry, żeby była świadkiem. To była taka młoda osoba. Znaczy młoda, taka jak myśmy wszyscy byli. Moje córki się bardzo przyjaźniły z jej dziewczynkami. Chodziła za nimi krok w krok: „Nie będziesz mi tu stawał na krześle. Trzeba sobie poszukać.”I oni tacy wystraszeni. Tak że to ja naprawdę wspominam [z rozbawieniem]. Oczywiście to było koszmarne, co władze robiły i nie ma co tutaj tego idealizować. Koszmarne było to, że nic nie było do jedzenia, że nic nie można było dostać. To było to to było straszne. Takie marnowanie życia na to, żeby zdobyć każdą rzecz. Szczególnie jak mąż siedział w ciupie, bo tu musiałam jedną [córkę] odebrać z jednego przedszkola, drugą z drugiego przedszkola. Tu masło o dwunastej, a o tej samej dwunastej gdzieś tam jajka. No po prostu koszmar. Ale solidarność ludzi i taka serdeczność jakaś, taki wzajemny stosunek ludzi do siebie i do sąsiadów, i tych ekspedientek i tak dalej, no to było naprawdę coś wspaniałego. To to, to ja wspominam [jako coś] naprawdę świetnego. W sklepie spożywczym pracowały panie, które gdzieś niedaleko mieszkały. Wpadają dzieci: „Mamo, pani Pytko mówi, że jest Arabica” „Natychmiast bierz pieniądze, leć po

Arabicę.”Prawie w ogóle nie piłam kawy, no ale się szło. Zresztą to w ogóle był koszmarny czas. Kartki dawali na alkohol, jak myśmy właściwie alkohol kupowali niezmiernie rzadko. A to wódka głównie była. Więc ta wódka stała, tej wódki się robiły zapasy jakieś zupełnie koszmarne. No i ta niewygoda taka straszna codziennego dnia. U nas się odbywało wiele spotkań z różnymi ludźmi, u nas w domu. Ja zawsze uważałam, że trzeba jakoś tych ludzi nakarmić. I pamiętam to jak kiedyś Michnik przyjechał, zależało mu na tym, żeby się spotkać z inteligencją. No dobra, z inteligencją. On tam jeszcze był u Kurskiego, bo on był wtedy doktorantem, potem zresztą wyleciał z tych studiów doktoranckich. No i ja zrobiłam barszcz z pasztecikami. Ja nie umiem robić pasztecików, [więc] bardzo się namęczyłam, postawiłam na stole i, cholera jasna, jeszcze Michnik nie przyszedł, a tu już połowa przynajmniej zniknęła. Więc szybciutko zabezpieczyłam trochę dla niego. Myślę, no trudno, facet przyjdzie, będzie głodny, musi mieć co jeść. Tak że to były takie sytuacje. Danka Winiarska (obecnie Kuroniowa), właściwie myśmy w takiej symbiozie żyli –Winiarscy, Biali, my. Te dzieci ciągle tam łaziły gdzieś się snuły. Nasze córki do Winiarskich, dziewczynki Winiarskie –one chyba są w wieku mojej młodszej córki, do mnie przychodziły. Myśmy mieszkali wszyscy w osiedlu Konopnickiej, w takim bardzo długim domu na Żarnowieckiej trzy. Winiarscy mieszkali w tym bardzo długim budynku na początku, na Pana Balcera jeden, chyba. A Wacek mieszkał parę tam bloków dalej. Tak że właściwie nie było dnia, żebyśmy się jakoś tam nie spotykali. Dziewczynki przesiadywały częściej u nas, bo u nas zawsze ktoś był w domu, tak, że to było wygodne. Poza tym, jak [dzieci] mówiły: „My lubimy chodzić do cioci Małgosi, bo ciocia nam pozwala zjeżdżać na sankach z kanapy” I kiedyś było spotkanie. Danka u nas zrobiła, już nie pamiętam, jakie, bo tych struktur było strasznie dużo różnych takich. No w każdym razie jednego z tych takich zarządów czy czegoś tam. Przyszli ludzie. I akurat mój maż pojechał do swojej rodziny na wieś i przywiózł szynkę stamtąd. Jezu, jak to towarzystwo się na to rzuciło. To rzeczywiście była dobra szynka, taka robiona dla siebie. Więc to było fajne. Kiedyś przyjechał Marcin Król, mieli przyjść różni ludzie. Wiedziałam, że to nie będzie dużo, to tam z dosłownie kilka osób. A ja nie mam nic. No kompletnie nic. Na szczęście to był chyba lipiec albo koniec czerwca. Poszłam na targ, kupiłam młodą kapustę, jakieś pieczarki, młode ziemniaki. No po prostu myślę, no to trudno. Coś takiego dałam i chyba to było najbardziej udane przyjęcie, jakie w tym czasie zrobiłam. No bo rzeczywiście to nie tak często się jadło takie nowalijki. No i tak ten stan wojenny sobie mijał. Z mniejszymi, większymi sukcesami. No bo jednak tak po kawałeczku, po kawałeczku to szło jakby trochę do przodu. Na początku no to właściwie nie mieliśmy żadnej nadziei, a potem jednak oni coraz jakoś tak poluzowywali.

13. Początki pracy w Gazecie wyborczej. Redakcja na ulicy Górnej.

To było już po okrągłym stole, jak ta „Gazeta”powstawała. W którymś momencie na początku Wacek nawet mi proponował żebym tam poszła do pracy, ale ja

pracowałam w wydawnictwie i akurat zostałam wybrana do komisji zakładowej. Więc nie bardzo mogłam. Zresztą wtedy były te zwolnienia grupowe, zaczynało się pracować nad przygotowaniem zwolnień grupowych, to wtedy oba związki –my i ZNP nad tym pracowaliśmy. Zresztą muszę powiedzieć, że obecny rektor [Stanisław] Michałowski się tym zajmował z ramienia ZNP i naprawdę to była świetna współpraca. Naprawdę nam się bardzo dobrze współpracowało. Gdybym powiedziała, że ja wymyślałam, a on się na wszystko zgadzał, to oczywiście byłaby zdecydowanie przesada. Ale naprawdę nie było żadnych kłopotów, żeby uzgodnić stanowisko. To to było świetne. No, ale jak już skończyłam to wszystko, jak już było przygotowane, to mogłam pójść do Wacka do „Gazety" No i poszłam. To był lipiec '2 roku. Ale od początku czuliśmy się jakoś strasznie związani i ja, i mój mąż z tą „Gazetą" bo że tak powiem, ona rodziła się na naszych oczach. W każdej siedzibie przesiadywaliśmy i znaliśmy tych ludzi. Miałam też straszną tremę, przecież nie miałam zielonego pojęcia o tym, na czym polega praca w gazecie. A byłam sekretarzem redakcji. Co to jest? Ale jak się dowiedziałam, że sekretarz redakcji to nie musi pisać ciągle tekstów, to sobie myślę, dobra jest, to niech będzie to. Bo sekretarz redakcji to właściwie rzadko ma czas na pisanie własnych tekstów. Ale redagowanie, myślenie o gazecie, no to już było zupełnie co innego, to było coś świetnego. Jak poszłam do pracy do „Gazety" to [redakcja] mieściła się na Górnej. Chyba Górna cztery był adres w kamienicy. Okropny był ten dom, zimno było jak cholera. Wchodziło się przez bramę, po schodach i na pierwszym piętrze albo na wysokim parterze ten sekretariat redakcji był. Prosto ze schodów były drzwi do tego pokoju, w którym ja byłam. Dalej były jakieś pomieszczenia, gdzie były maszynistki, bo przecież to jeszcze wtedy były maszynistki. To w ogóle było tak, że dziennikarze pisali na zwykłych maszynach, zanosili do tych maszynistek, które to tam przepisywały. Potem to było drukowane na niedużych takich kartkach. Kleili to, więc było strasznie dużo technicznych pracowników, bo były te maszynistki, były korektorki, byli chłopcy, którzy kleili to. Kompletny absurd. Byli oczywiście też łamacze. Tak że tak, że sporo ludzi tutaj pracowało, na dole. A na górze byli dziennikarze. Fajnie było na tej Górnej, tylko raz mi gwizdnęli torebkę ze wszystkim. Ale to byli jacyś porządni ludzie, bo podrzucili ją na Narutowicza do delikatesów, więc odzyskałam przynajmniej dokumenty. Wtedy do „Gazety"przychodziło masę ludzi. I przychodzili ludzie ze swoimi sprawami, z takimi którymi naprawdę warto się było zająć. I przychodziło też masę, no wariatów, takich dziwnych osób. To trzeba było mieć jakieś umiejętności, żeby sobie z nimi radzić. Bo czasem od razu było widać, że to coś jest z tym człowiekiem nie tak, ale jak to zrobić, żeby się go pozbyć, ale nie urazić. I niestety ten sekretariat redakcji u wylotu schodów był fatalny, bo każdy trafiał właśnie tam.

14. Rozwój „Gazety" Zmiany organizacyjne, nowe technologie.

Byłam przeszczęśliwa, kiedyśmy się przenieśli po paru latach na Krakowskie

Przedmieście trzydzieści dziewięć. Gdzie też było tak sobie. Pamiętam, jak przyszliśmy kiedyś do pracy, a tutaj pod drzwiami balkonowymi zaspa. W redakcji normalnie. Okropnie było. W tej chwili to już to zupełnie inaczej wygląda, bo w którymś momencie ogrzewanie inne zrobili i tak dalej. Ale nie tylko to. To była taka wielka różnica, bo poza tym ubyło nas. Ubyło na przykład tych, co kleili, tak, że później byli tylko łamacze, korektorki. Już nie było maszynistek, były zupełnie niepotrzebne. I tak ciągle się to zmieniało. Teraz cała „Gazeta"jest połączona w system. W którymś momencie, już nie pamiętam kiedy to było, ale to już chyba wtedy byłam szefową „Gazety" kiedy w ogóle łamanie się przeniosło do Bydgoszczy. „Gazeta"już nie jest łamana w Lublinie. Na początku to było nie bardzo [dobre rozwiązanie], bo jednak jak jest gazeta o mieście, no to przecież są nazwy ulic, nazwiska, i tak dalej, nasze korektorki doskonale to wszystko znały i każdą bzdurę wyłapały. Ludzie przecież są omylni. A wtedy to było tak, że każdy tekst był czytany przez redaktora tak zwanego wspomagającego, który takie pierwsze czytanie robił i omawiał z nimi, co dalej. No, na początku przecież myśmy się wszyscy uczyli. Nie było zawodowych dziennikarzy. Zawodowym dziennikarzem i to radiowym, był Wacek, który pisywał reportaże. No oczywiście, Wacek był najlepszy z nas wszystkich, ale też nas wszystkich uczył. Potem przychodzili młodzi ludzie po studiach, też ich trzeba było uczyć. Więc ten wspomagający najpierw, potem redaktor prowadzący czytał i potem jeszcze korekta. Potem były te strony wywieszane, wydrukowane. Każdy mógł przeczytać i przychodzili dziennikarze, patrzyli: „O tutaj, tutaj trzeba poprawić." To naprawdę wtedy można było tę „Gazetę"cyzelować, ona była mała. Po Wacku Białym szefem gazety był Janusz Knap. I to z jego przyjściem, tak, jak on przyszedł, to „Gazeta"zaczęła rosnąć. Przez pewien czas „Gazeta"była bardzo duża, miała osiem, czy pięć –sześć stron tekstowych, to rzeczywiście trzeba było dużo dziennikarzy i każdy się musiał bardzo napracować, żeby te strony czymś wypełnić, po prostu. W tej chwili, jak się weźmie gazetę, która ma cztery kolumny, w tym ileś tam ogłoszeniowych, no to ja sobie myślę: „Jezu, jak to dobrze, że ja już nie jestem szefową, że już to ktoś inny musi takie maleństwo robić." Wszystko się zmieniało. Przeniósł skład, przeniosły się korektorki, przeniosło się wszystko. W tej chwili już takie pierwsze łamanie jest robione przez redaktorów. Przedtem było tak, że się gdzieś te teksty wrzucało i łamacz łamał. W tej chwili redaktor łamie. Nawet papier. No bo do komputera się wrzuca, jest jakaś tam makieta i redaktor łamie. W którymś momencie, ja już nie pamiętam, w którym roku co wchodziło, ale chyba jak ja zaczynałam być szefową, to już weszło to łamanie przez nas. I właściwie ci łamacze w Bydgoszczy tylko to poprawiają, żeby było porządnie, żeby tytuły, żeby to wszystko wyglądało. No, a w tej chwili kto kupuje papierową gazetę? Ludzie czytają nas w internecie. Niewiele ludzi kupuje, niewiele ludzi czyta.

15. Ludzie „Gazety" Redaktor Wacław Biały, eksperci i felietoniści

[Wacław Biały] był świetny. On mówił, że musi nas wszystkich nauczyć, a potem już

nie będzie nic robił. I tak jak powiedział, tak i czynił. W pewnym momencie Wacek się zupełnie wyłączył. Już uważał, że my wszystko umiemy. On na przykład robił takie ćwiczenie: skróć ten tekst. No to sobie skróć ten tekst! I potem widać było, że w gruncie rzeczy naprawdę można skracać, ale w pewnym momencie oczywiście już się dalej nie dało. Ale widzieliśmy sami, że ten ostateczny rezultat po tym na przykład dwukrotnym skracaniu, że to jest coś dużo lepszego. Oczywiście, jeśli idzie o teksty informacyjne. Mówię o tekstach informacyjnych. Nie mówię ani o publicystyce, ani = o reportażu, no bo tutaj oczywiście nikt by tak nie robił. Ale Wacek nas uczył i tego, i uczył nas tego, z kim rozmawiać, jak te teksty robić. Myśmy wtedy, w latach ’0-tych, tak pod koniec i na przełomie lat 90-tych i tych dwutysięcznych naprawdę mieli taką grupę świetnych ekspertów, do których mogliśmy się zwrócić w każdej chwili i którzy naprawdę [byli specjalistami]. Zresztą później duża gazeta nam ich zabierała. Tak, jak nam felietonistów też wykorzystywała. Dostatni u nas zaczął pisać, duża gazeta go wzięła. Alfreda Wierzbickiego też sobie przyuważyli u nas. I prawników. No przede wszystkim, co tu dużo gadać, jeśli idzie o dostęp do prawników, to mieliśmy najlepszy, bo przecież to był mój mąż i jego rozmaici koledzy czy z Krakowa, czy z Warszawy. To wcale nie jest tak prosto uzyskać wypowiedź eksperta. Jeśli się widzi ciągle jedno nazwisko, to nie dlatego się widzi to jedno nazwisko, że ten człowiek jest próżny i się pcha. Tylko dlatego, że to jest ten człowiek, który się nie boi zabrać głosu, który nie boi się powiedzieć rzeczy niepopularnych albo takich, które się komuś nie spodobają. Okazuje się, że to wcale nie jest taką cechą uczonych. Poza tym straszna rzecz się porobiła, ponieważ wielu z tych naszych absolutnie niezawodnych prawników zostało sędziami, na przykład Andrzej Rzepliński. No i koniec, do widzenia. Sędziowie nie mogą się wypowiadać. Więc tak jednego po drugim traciliśmy tych naszych [ekspertów]. Na szczęście przyszli młodzi. Adam Bodnar i inni którzy też [mają odwagę].

16. Chatka Żaka - życie studenckie i działalność artystyczna.

Jakie to było cudowne miejsce! Ja w Chatce Żaka spędziłam dziewięćdziesiąt procent studiów, ponieważ nie lubiłam chodzić na zajęcia. Na wykłady bardzo szybko przestałam chodzić. To znaczy były takie wykłady, na które warto było [przychodzić], na przykład mojego późniejszego szefa, profesora Leżańskiego. To były znakomite wykłady. I warto było. To był dziwny człowiek. On w ogóle nie nawiązywał kontaktu z salą. Coś tam sobie pisał na tablicy, ale to co pisał na tablicy, było bardzo dobre. No więc na te wykłady chodziłam. Ale w Chatce Żaka też było ciekawie. Przychodzili jacyś ludzie z różnych kierunków, z różnych uczelni. Lubiłam to. Można tam było zjeść taką sałatkę z bułką, taką w kształcie jajka i z majonezem na wierzchu. Ta sałatka kosztowała, nie pamiętam, chyba ze dwa złote, dwa sześćdziesiąt? W każdym razie było to bardzo dobre. No i było strasznie wesoło, bo tam się mieściło sto pięćdziesiąty tysięcy różnych organizacji, teatrów i tak dalej, ci wszyscy ludzie się przewalali. Przede wszystkim tam się ze znajomymi spotykało. No, jak mówię,

myśmy robili kiedyś z Jackiem, moim kolegą z fizyki –on w tej chwili jest uczonym fizykiem w Warszawie –kabaret. To było coś tak idiotycznego. Nie wiem, czy ja to opowiadałam? Postanowiliśmy zrobić kabaret. No dobrze. Ja napisałam tam parę jakichś tam kupletów. Myśmy zresztą z Jackiem mieli taką zabawę. Chodziłam z moimi kolegami z matematyki na zajęcia z matematyki, ale jeśli idzie o angielski, filozofię i tak dalej, to ja z fizykami lubiłam chodzić. Tam byli fajniejsi ludzie i z nimi byłam bardziej zakolegowana. No i nasza ulubiona zabawa z Jackiem była taka, że ja pisałam kawałek wiersza, a potem on pisał kawałek, a potem ja pisałam, potem on. Już nie pamiętam tych wierszy, tylko [wiem], że to było coś zupełnie idiotycznego. To jedno pamiętam: „I tak się rozstali, on durny i głupek”–to ja napisałam. A on napisał: „A ona w podzięce wskoczyła na słupek” O, tego typu była twórczość. No i w pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że będziemy robić kabaret. Więc ja napisałam jakichś parę piosenek takich zupełnie od czapy, a on przychodzi taki zachwycony, mówi: „Wiesz, w «Kamenie» taki kawałek prozy poetyckiej Horabika, to świetnie nam posłuży” –„No i co to jest? To do przeczytania?”A to mniej więcej sens był taki, że tak się wchodzi po schodach na strych kościoła i tam na tym strychu tak słońce wpada i takie są słoneczne płaty na podłodze. Ja mówię: „Jacek, a co to ma wspólnego?”–„No jak to? Zobaczysz, będzie świetnie.”To nie było świetnie, to było coś jak jakaś katastrofa. Ale pamiętam, występowali tam koledzy nasi z fizyki, też tacy trochę starsi i żadnej roli żeńskiej nie było, tylko jakieś same męskie. Przyszedł cenzor, bo to przecież trzeba było, na każdą rzecz musiał przyjść taki facet z cenzury. Raz byłam tylko w cenzurze, takie miałam doświadczenie z wydawnictwa straszne. I ten cenzor tak tego posłuchał, mówi: „No tak, nic tu nie ma. Takie sobie to jest. No tak, no taki poziom, taki sobie, ale nic tu nie ma” Ja wtedy myślę: „Cholera, ty sukinsynu, ty będziesz nas tutaj tak oceniał!” To takie było nasze kabaretowe doświadczenie. Już później nie chciałam z Jackiem robić tego, bo to nie było dobre. Już nie pamiętam czy to było wystawione w Chatce Żaka, ale chyba w Chatce Żaka. Wtedy ogóle strasznie dużo się działo. Strasznie dużo było takich kabaretów rożnych, takich różnych rzeczy w Chatce Żaka i naokoło. Na przykład piosenki Okudżawy były śpiewane. Fizycy robili też takie przedstawienie. Ewa Chmielewska, która później w Gongu też była aktorką, potem była szefową Domu Kultury, jak jeszcze Centrum Kultury to był Miejski Dom Kultury. Potem wyjechała w ogóle z Lublina. Fizyczka, była taką sobie studentką, ale była bardzo utalentowana właśnie tak aktorsko i była świetnym menagerem kultury. Więc Ewa robiła też spektakle. I pamiętam, był taki w Chatce Żaka, ale nie na scenie, tylko w jednej z sal. W każdym razie tam Ewa wisiała na karniszu. To było o wojnie, kompletnie nie pamiętam, o co szło, ale pamiętam, że nasz kolega, Marek Kalinowski tam miał stać w charakterze, nie wiem jakim, żołnierza, który stoi, bo to przecież wojna. Przebrała go w jakiś taki strasznie gruby szynel i on tam stał, stał, stał dzielnie. Potem się już to przedstawienie skończyło. Myśmy poszli gdzieś, zajmowaliśmy się uczczeniem tego i nagle Ewa mówi: „Jezu, wiecie co, ale ja Kalinowskiego nie zwolniłam on tam chyba stoi” I rzeczywiście

okazało się, że stoi. Marek Kalinowski był na matematyce i na fizyce jednocześnie. Przez całe studia miał jedną czwórkę na fizyce, poza tym same piątki i fenomenalną miał pamięć, fenomenalną. I to jest w ogóle dziwne, bo on nie jest wcale żadnym uczonym wielkim, nie wiem, co on robi. Więc taka była działalność artystyczna. Strasznie dużo takich rzeczy było. Bo tam wtedy była i Scena 6, [Teatr] Provisorium. Te wszystkie teatry się tam zaczynały. Chodziłam na przedstawienia oczywiście, bo to byli moi bliscy koledzy. I nawet sobie taką wypracowałam formułę, którą mówiłam, żeby nie powiedzieć, że to świetne, bo jednak nie, ale że ciekawe, że interesujące. Już w tej chwili nie pamiętam, ale to było jakoś z dużym talentem wymyślone i bardzo byłam z siebie zadowolona. Bo to nie były dobre przedstawienia. Naprawdę to nie były dobre przedstawienia, rzadko były dobre. Później, oczywiście oni się uczyli, to potem było coraz lepsze, no w tej chwili no to powiedzmy sobie Provisorium to już jest górna półka. Czy to, co Borowiec robił. Już jak on robił w Chatce Żaka „Postój na pustyni”[red. „Postój w pustyni” to to było olśnienie. To to było odkrycie, coś wspaniałego. Ale wcześniej oni zaczynali trochę inaczej. No więc mnie, jak byłam na studiach to takie rzeczy raczej nęciły, interesowały, a nie matematyka. Do Chatki Żaka przychodzili różni ludzie, to się przelewało. Nie miałam wielu znajomych na KUL-u, ale ci, którzy przychodzili do Chatki Żaka, no to się bardzo z nami kumplowali. Musiało być jakieś miejsce, żeby się z nimi spotkać. Z moich znajomych nikt nie poszedł na studia na KUL-u, bo ludzie albo wyjeżdżali do Warszawy, albo szli jednak na UMCS. Ale nie przypominam sobie, żeby była jakaś niechęć miedzy studentami.

17. Życie towarzyskie, życie kawiarniane

Hades ten w Centrum kultury to też był [klub] studencki, ale bardzo dawno temu i jakoś tak niedługo. W Hadesie jeszcze za Wacka [organizowaliśmy] nasze gale, ale ja inaczej życie towarzyskie sobie wyobrażam niż w Hadesie czy w Szerokiej. Lubię czasem tam pójść, jak się coś dzieje, ale generalnie nie. Ale jak nasze gale były tam, w Hadesie, robione, to one były naprawdę fajne. To się wtedy nazywało Bal Przyjaciół Gazety i myśmy, owszem, zapraszali przedsiębiorców, bo zależało na tym naszym kolegom od ogłoszeń, od reklam, ale głównie to byli ludzie z tego towarzystwa jeszcze sprzed lat, jeszcze głównie z podziemia. To było fajne towarzystwo. Ze studenckiego życia [kawiarnianego] to przede wszystkim ta Chatka Żaka. Tam było naprawdę fantastycznie, tam było cudownie. Potem, jak już pracowałam na matematyce, to myśmy chodzili do Unii. Z Geblem, który był wtedy adiunktem. I był przecudownym kolegą jako adiunkt. Tam chodziliśmy sobie właściwie no prawie codziennie całym towarzystwem z zakładu. A potem nagle kawiarnie znikły. Pamiętam jeszcze ze swojego dzieciństwa taką historię, która zresztą była w domu opowiadana. Ja miałam dwie babcie. Jedna była babcia, matka mamy, która była z Chełma i później zresztą po śmierci mamy z nami mieszkała. Ale była też babcia Zosia z Krakowa, która przyjeżdżała tutaj czasem. Później też się przeniosła do nas, ale to trochę później. Ale jak ja byłam całkiem mała, to ona tutaj

bywała i musiała codziennie dzień zaczynać od pobytu w kawiarni. No taką kawiarnią, do której można było teściową zaprowadzić, to była Lublinianka. Więc mama brała mnie, byłam wtedy mała, babcię i szła do tej kawiarni. I tak było dzień w dzień, co moją mamę strasznie męczyło, bo jednak miała różne inne rzeczy do zrobienia, niekoniecznie z teściową [chodzić po kawiarniach]. Dopiero kiedyś, jak babcia poszła do toalety, a ja na cały głos się rozdarłam: „Babciu, zrobiłaś już siusiu?"[to się skończyło], bo ona już się później wstydziła tam chodzić. No, ale wtedy były te kawiarnie. Na przykład jak wybudowali RDM [Racławicka Dzielnica Mieszkaniowa], to taka z jednej strony była knajpa Pod Fafikiem, a z drugiej strony ten Tip-Top, który w tej chwili jest taką właściwie jadłodajnią tanią, ale pierogi dobre mają. Ale [kiedyś] to była kawiarnia. I na przykład po zakończeniu roku, jak była ta druga babcia u nas, to ona zawsze tam brała mnie na lody. Była przecież tutaj Regionalna, czy jakoś tak się nazywała, tu gdzie teraz jest [księgarnia] Matras i kiosk. Była [kawiarnia] w Unii. Ta w Astorii uchodziła za elegancką. Pamiętam taka historię, to był rok siedemdziesiąty któryś. Zrobili Astorię i na pierwszym piętrze była kawiarnia z takim balkonem. Profesor Mazur, wielki matematyk ze szkoły lwowskiej jeszcze, przyjaciel mojego ojca, zachorował. Był w Nałęczowie i zachorował na zawał. No więc tutaj go przywieźli do PSK 4. Mój ojciec z moją siostrą młodszą akurat jechali na wakacje gdzieś w Tatry. Ja byłam na obozie kół naukowych w Zamościu. I ojciec zadzwonił, mówi: „Musisz przyjechać, bo tutaj się trzeba zająć panią profesor Szmuszkowicz" To była partnerka profesora Mazura. Bo profesor Mazur miał żonę, która była psychicznie chora, więc ona gdzieś tam była [w zakładzie]. Zresztą [mieli] dwie córki, tancerki Barbarę i Krystynę Mazurówny. No a tutaj profesor Szmuszkowicz była z nim. Ja akurat wtedy poznałam mojego męża i zupełnie mi się nie spieszyło do Lublina, no ale nie miałam wyjścia. Wszystko wyglądało tak dobrze, dobrze zaczęło się zapowiadać, ale tatuś zadzwonił, mówi: „Przyjeżdżaj, musisz się nią zająć" Więc to było oczywiste dla mnie, że nie ma wyjścia, przecież w końcu ten z zawałem, ona starsza pani wystraszona, przerażona, trzeba było jechać. Wróciłam tutaj do Lublina, ale na szczęście ona miała siostrę. Mówię miała, bo już ani jedna, ani druga nie żyje. Siostra pani profesor Szmuszkowicz wyszła za mąż za Umberto Barbaro. To był taki teoretyk nowej fali z Włoch. Nawet w „Małej Encyklopedii PWN-u"o nim było napisane. Komunista włoski, ale przyjeżdżał tutaj do Polski, do Łodzi. A siostra pani [profesor] pracowała w tej łódzkiej szkole filmowej. Nie wiem, w jakim ona tam charakterze pracowała. Przypuszczam, że w jakiejś pewnie administracji, ale nie wiem, po prostu nie wiem. No i się zakochali w sobie. Wyszła za niego za mąż, wyjechała do Rzymu. I właśnie wtedy miała przyjechać ze swoimi dziećmi. On już wtedy nie żył. Czyli ja już wiedziałam, że jak ona przyjedzie za parę dni, no to będę mogła wracać z powrotem na ten obóz, tylko muszę jej jakoś zorSganizować pobyt. No i ja o tym dlatego mówię, że ona chciała do jakiejś kawiarni iść. A wtedy najelegantsza była ta Astoria właśnie. No to ja zaprowadziłam z dziećmi do Astorii. Teraz jak sobie pomyśle, jak ona to widziała, to no to musiało to na niej zrobić dziwne

wrażenie, bo ulica Lipowa nie jest piękna. Ten budynek, no ten budynek się podobał bardzo architektom, więc może sam budynek okej, ale przecież w Rzymie tych kawiarni różnych z ogródkami i tak dalej jest masa, a to nie było żadne takie [reprezentacyjne] miejsce. I wtedy zainstalowałam ją [w hotelu]. Marta Kurowska, obecnie działaczka miejska, moja przyjaciółka od szkoły pracowała w hotelu studenckim, w recepcji. Już nie pamiętam, w którym to było bloku. Tam tak można było sobie przyjść i to było jakieś straszliwie tanie. A byłoby jeszcze tańsze, gdyby oni mieli legitymacje studenckie. No dla mnie to było w ogóle [bezdyskusyjne] –nie mają i koniec. Ale one jakoś tak się szybciusieńko porozumiały, Marta z panią Barbaro. I nagle patrzę, a pani Barbaro wypisuje numery tych legitymacji. Więc to pierwszy raz w życiu miałam okazję uczestniczyć w tak dziwnym wydarzeniu pod tytułem ufamy sobie, ufamy. I, że pani Barbaro na pewno jest studentką. Oczywiście jej dzieci studiowały wtedy, więc to było w porządku. A, że nie mieli przy sobie tych legitymacji, to inna rzecz.

18. Rok ‘8

Był taki chłopak, nazywał się Włodek Przytyk. Ja byłam z nim bardzo zaprzyjaźniona, i Zbyszek też, ale jakoś tak nigdy nie spotkaliśmy się u tego Włodka w domu. Ja byłam ulubienicą jego matki, więc ona zawsze tak mi lubiła mówić, że ja jestem taka porządna dziewczyna –„A te jego narzeczone, to takie straszne.”Włodek był świetnym chłopakiem. To był syjonista, jak się [łatwo] domyślić. To był przecież ’8 rok, kiedy myśmy zdawali maturę. Zaczynało się to w ’7 roku. Ja gdzieś to znalazłam, te stare gazety. To była straszna [nagonka]. Ale to jest taka historia, którą warto może przypomnieć, jak to wyglądało tutaj, w Lublinie. Mianowicie do tych szkół, do Zamojskiego, do Staszica, do Unii chodziły też dzieci inteligencji lubelskiej. I tak zwana bananowa młodzież. To byli głównie synowie adwokatów, był Estreich i tam jacyś inni. I nagle się zaczęła jakaś koszmarna nagonka na to towarzystwo. No Włodek Przytyk był rzeczywiście z rodziny żydowskiej. Nie wiem co robił jego ojciec. Jak ja tam chodziłam, to się tylko tak jakoś przemykał, z ojcem nie mieliśmy kontaktu. Natomiast matka była w „Sztandarze Ludu”chyba też sekretarzem redakcji. Jak ja ich poznałam, to ona już nie pracowała, już była na emeryturze, ale to była taka jakaś szara eminencja. Przypuszczam, że nie zasłużyła się jakoś nadzwyczajnie w czasach stalinowskich, takie mam podejrzenia. Ale nie wiem, naprawdę nie wiem. Natomiast wtedy była starszą panią. Ja ją bardzo lubiłam. No i była taka smutna historia, opisywana w lubelskiej prasie, jak to grupa takiej tutaj bananowej młodzieży, [czyli] Włodek razem z kolegami, potwornie pobiła w toalecie biednego chłopca. Ten biedny chłopiec pobity w toalecie to był kolega, to był brat mojej koleżanki z klasy. Wielki taki, takie wysportowane chłopisko, natomiast ten Włodek, który miał go pobić, no to takie chuchro. No wszystko można o nim powiedzieć, ale nie to, że był wysportowany. I po prostu pomysł, że on mógł tego wielkiego chłopaka, tego Grześka pobić, był jakiś zupełnie absurdalny. Pewnie wpakował się do tej toalety, gdzie starsi

koledzy z maturalnej klasy palili papierosy. Oczywiście nie powinni go stamtąd wyganiać, bo nie powinni też byli papierosów palić, no ale takie bywają niestety w szkole zwyczaje. I o przypadkach fali i takich rzeczach się słyszy. Natomiast to, żeby z tego robić aferę w gazetach i tak dalej to było ohydne, to było po prostu straszne. Ta bananowa młodzież tak potępiona. No oczywiście oni powylatywali z tych szkół. I Włodek wyleciał z Zamojskiego. Przyjęli go do szkoły w Staszicu. Zresztą w tym Staszicu to on był prawie, że noszony na rękach, jak bohater narodowy przez kolegów traktowany. No bo to naprawdę to było widać, po czyjej stronie jest sympatia. Potem przyszedł marzec i to wszystko. On zresztą później wyjechał, oni wyjechali z Polski, cała rodzina. Ale Włodek przestał chodzić do szkoły. Wagarował. W ogóle on był idiotą, bo w ogóle matury nie zdał. A zdałby bez niczego, ale nie chodził do szkoły. Dzwonili, do matki próbowali się dodzwonić, dzwonili do niego. To on telefon chował to do tapczanu, to tu, to tam. No to było zupełnie idiotyczne. A pani profesor Szmuszkowicz, o której mówiłam, pracowała wtedy już w Instytucie Kształcenia Nauczycieli w Warszawie. Ponieważ ją wywalili z Uniwersytetu Warszawskiego. A wywalili ją dlatego, że ona była w ’8 roku prodziekanem do spraw studenckich. I jak były te wydarzenia marcowe, to wywalili masę ludzi z matematyki, bo brali bardzo w tym aktywny udział. Z sekcji teoretycznej między innymi. Bo wtedy były sekcja numeryczna, czyli informatyczna, gdzie szli wszyscy i sekcja teoretyczna, sekcja ogólna, czyli nauczycielska, że tak powiem, dla jakichś takich zapaleńców. To byli ci, którzy się nie dostali na tę sekcję numeryczną, to naprawdę były najsłabsze osoby i Ewa Maziarz, wybitna studentka, która chciała być nauczycielką. Na matematyce na Uniwersytecie Warszawskim było to samo, że było trochę tych studentów na sekcji teoretycznej. Oni bardzo się zaangażowali w marcu i wylecieli wszyscy. I [pani profesor Szmuszkowicz] wtedy zrobiła na studiach zaocznych sekcję teoretyczną. No więc jak ona zrobiła tę sekcję teoretyczną i wszystkich ich poprzyjmowała, no to oni co prawda studia skończyli, ale ona została wywalona z tego uniwersytetu. Ale wkrótce potem się zaczęła ta reforma i ona naprawdę robiła wspaniałe rzeczy. Te wszystkie szkolenia dla nauczycieli matematyki i tak dalej, to ona się tym zajmowała. Ona i całe grono uczonych, między innymi mój ojciec się bardzo w to zaangażował. Pewnie przez przyjaźń z nią, a też i przez to, że jak mówię, po śmierci mamy, ojca zupełnie ta matematyka przestała rajcować. I bardzo się zaangażował właśnie w to kształcenie nauczycieli. Tutaj był takim też jakby patronem tego w Lublinie.

19. Życie prywatne, czyli dom otwarty

Jak poznałam mojego męża? Ja znałam go z widzenia, bo myśmy studiowali w tym samym czasie. Poza tym ja na prawie miałam masę kolegów. I zresztą to w ogóle jakieś dziwne, bo myśmy mieli to samo towarzystwo w szkole średniej. I powinnam była spotkać tam mojego męża, ale jakoś go nie spotkałam. Widocznie jakoś tak było nam pisane się poznać już jak byliśmy doroślejsi. W każdym razie mojego męża

spotkałam na tym obozie kół naukowych. On był szefem Koła Naukowego Filozofów, ja byłam szefem Koła Naukowego Matematyków. W Kole Naukowym Matematyków był jeden mój kolega z roku, taki strasznie fajny Waldek Cieślak. On chyba na Politechnice teraz pracuje. Jako opiekun koła naukowego pojechał taki asystent młody wtedy bardzo, potem dziekan i tak dalej Zdzisław Rechnik. No i jeszcze jedną uczestniczką była moja przyjaciółka Monika Wójcik, studentka rusycystyki. Profesor Oktawa z Akademii Rolniczej nam podpowiedział, żeby liczyć samochody na rondzie, więc myśmy na tym rondzie siedzieli, liczyliśmy samochody tak z dwie godziny lub trzy godziny dziennie. Poza tym mieliśmy świetną zabawę. Fajnie było. To się działo w jakimś internacie. Tam było masę miłych kolegów z różnych kół naukowych. No i też był wtedy, nie wiem, jak tam trafił, taki Hasib. To był Serb chyba, nie wiem, w każdym razie jakiś muzułmanin z Jugosławii. On też przyjechał na ten obóz. Nie wiem jak on tam trafił, w każdym razie myśmy się bardzo zaprzyjaźnili. Jeszcze był Bogdan Taborski on był na obozie naukowym chyba jako prawnik, bo był przecież prawnikiem, teraz jest adwokatem. No w każdym razie po tym obozie nie było mojego ojca, bo z siostrą pojechali na wakacje i jakoś tak się porobiło, że Zbyszek i ten Rychlik, Monika, Hasib i tam jeszcze jacyś [inni] –wszyscy zwalili się do mnie. Na noc szli gdzieś, bo na noc jednak zostawałam sama. Kazik Iwaszko miał brata, który pracował w jakichś zakładach drobiarskich i można było tam kupić kurczęta za niewielkie pieniądze. I myśmy sobie tam gotowali. Hasib nam jakieś robił takie potrawy z jarzyn. Myśmy [kupowali] te kurczaki. I to tak przez parę dni takie było koczowanie u nas bardzo przyjemne całego tego towarzystwa, takie poobozowe, że tak powiem, życie. A potem to już wszyscy sobie gdzieś poszli, a Zbyszek został. Myśmy się pobrali chyba jak jeszcze byłam, na piątym roku, a to było przed czwartym rokiem. A tak dokładnie w trzecią rocznicę ślubu wróciłam ze szpitala z moją starszą córką. Znaczy ja wróciłam, ona przyjechała do domu. Zresztą myśmy mieli niewiarygodne szczęście, ponieważ Zbyszek mieszkał w jednym z tych wojskowych domów, które poszły pod budowę teatru, [obecnie] Centrum Spotkania Kultur. W związku z tym myśmy dostali mieszkanie rok po ślubie. Teść dostał jakieś tam mieszkanie za to. Trochę mniejsze, a za to myśmy dostali tak zwane przyspieszenie do spółdzielni. I to chyba myśmy rzeczywiście szybko dostali to mieszkanie, bo może byliśmy ze dwa lata członkami spółdzielni. To zupełnie niebywałe było. Więc jak myśmy to mieszkanie dostali, no to w ogóle życie towarzyskie naszych przyjaciół już się przeniosło do nas, bo myśmy właściwie jako jedyni, mieli takie świetne warunki mieszkaniowe. I pamiętam jak z tym Zdzichem Dywanem zaczynałam współpracę, tam się kiedyś z nim zaczęłam się umawiać w domu. I on tak przychodził, u nas zawsze tłum tych ludzi, no to myśmy się zamykali w pokoju. Kiedyś przyszedł, mówi: „Boże, co się stało? Ktoś jest chory?” Ja mówię: „Dlaczego?”–„Nikogo nie ma tylko wy.” No potem w stanie wojennym no to w ogóle to przecież się przeniosło życie do domów. I dopiero jak ja poszłam do pracy w „Gazecie Wyborczej”, a Zbyszek w ’0 roku zaczął pracować w Krakowie, no to nagle

się okazało, że dzieci mają wreszcie święty spokój, bardzo są zadowolone, że tak w domu miło, nikogo nie ma.

20. Lubelskie kina

Najpierw było Wyzwolenie tylko. Z takich kin bliższych, bo Robotnik czy inne, to jednak było daleko. I pamiętam, tylko nie pamiętam, czy to w Wyzwoleniu było, kiedy mama nas zaciągnęła na taki film „Giganty morza" To w ogóle był pierwszy film, na jakim ja byłam w kinie. „Giganty morza"to był fajny film, bo to był taki właściwie dokument o życiu. Jakieś te ryby, jakieś koralowce i tak dalej. No to to było fajne, ale długo to trwało. A potem już było kino Kosmos. I później to już głównie się chodziło do Kosmosu, bo to było bardzo dobre kino. Pamiętam też coś takiego, to jeszcze z mamą byłyśmy, „Panienka z okienka"była grana. Ale seans był chyba od dziewiętnastej, czyli późno dla dzieci. I pani bileterka nie chciała nas wpuścić, [chociaż] z mamą byłyśmy. Dopiero jakaś interwencja u kierowniczki kina była i jednak łaskawie się zgodziły. To wtedy pamiętam, jak strasznie się zakochałam. Mianowicie w tym filmie, w „Panience z okienka"Krzysztof Chamiec grał schwarzcharakter i po prostu oszalałam z miłości na jego punkcie. Chodziłam, oglądałam te fotosy, żeby jeszcze na niego chociaż popatrzeć. To było chyba w szóstej klasie. Albo jakoś tak. A inne kina? Nigdy w życiu nie byłam w Letnim Kinie. Nie, właściwie Kosmos i Wyzwolenie. No potem Chatka Żaka, przecież zaczął się ten Dyskusyjny Klub Filmowy, no to się tam chodziło do Chatki Żaka. Tam rzeczywiście znakomite filmy były wyświetlane. I potem jeszcze w latach '0 chyba były te konfrontacje. No to wtedy chodziłam na co tylko mogłam. Wieczorami już mogłam, bo Zbyszek siedział wtedy z dziećmi, a ja sobie chodziłam do kina. Niestety nie bardzo mogliśmy chodzić razem, ponieważ mój teść czasem zgadzał się zostawać z dziećmi, ale włączał sobie telewizor i zasypiał, a wtedy w domu działo się piekło.

Data i miejsce nagrania	2016-01-12, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"